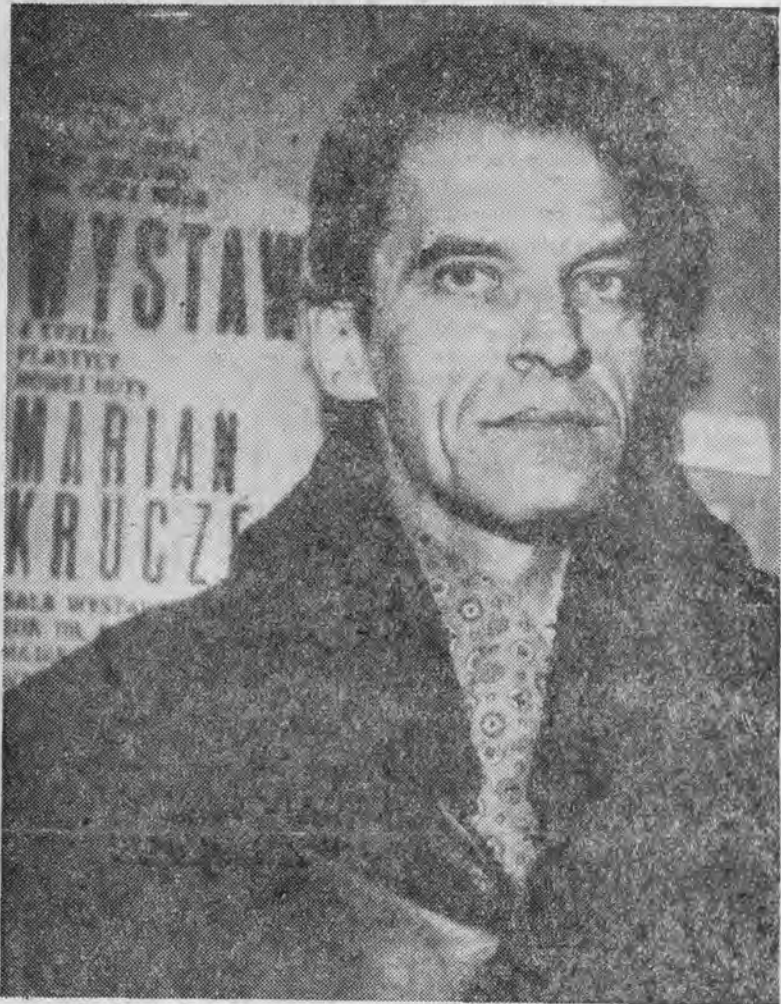


## Sztuka — to serce i temperament artysty



Fot. JERZY SZUBERLAK

Rozmawiamy w pracowni pełnej żelaznego złomu, pogiętych drutów, śrub, trybów, części maszyn. Na ścianach, pod sufitem, na zbudowanej ciesielskim sposobem galerijce obrazy, rzeźby, przedziwne ptaki nieptaki, zwierzęta nie-zwierzęta, ludzie nie-ludzie z żelaza, betonu, złomu. Przeglądam katalogi, gazety szwedzkie, belgijskie. Po entuzjastycznym przyjęciu w Brukseli, Miami na Florydzie, po udziale w wystawach sztuki polskiej w Splicie w Jugosławii, Bochum w NRF, Wystawie Retrospektywnej w Galerii Lambert w Paryżu, po wystawach indywidualnych w Krakowie i Warszawie, Marian Kruczek otwiera cykl wystaw „Plastyki Nowej Huty” organizowanych przez Wydział Kultury Dzielnicowej Rady Narodowej w Zakładowym Domu Kultury Huty im. Lenina.

Wystawia w środowisku własnym, z którym związany jest od kilku lat. Należy do grupy artystów stale mieszkających w Nowej Hucie.

Mieszka wraz z kilkoma kolegami malarzami w jednym z nowohuckich wieżowców, gdzie na ósmym piętrze zajmuje wysoką, obszerną pracownię. Rozmawiamy o ostatniej ekspozycji, o dalszych projektach i zamierzeniach, o przyszłej wystawie jego prac w Rzeszowie.

Wystawa rzeszowska nie jest sprawą przypadku. Wydaje mi się, że może być interesującą konfrontacją twojej sztuki i tradycji, z której ona wyrasta.

— Co mogę powiedzieć? Chyba to, że bardzo się cieszę, że będę mógł u was wystawić. Sam dobrze wiesz, że nie wszystkie lata były dla mnie szczęśliwe. Przyjemnie mi, że wracam po latach w środowisko, z którym wiele mnie wiąże, że wracam z czymś, co pozwoli mi się porozumieć z nim po prostu jak człowiek z człowiekiem. A co szczególnie ważne — z człowiekiem tego samego środowiska, tego samego regionu, tego samego odczucia.

Czy ten rodzaj twórczości, jaki uprawiasz od kilku lat, to co robisz obecnie, ma jakiś związek z twoim dzieciństwem, z całym jego pejzażem i klimatem, czy istnieje jakieś pokrewieństwo twojej sztuki z doznaniem dziecka urodzonego i wychowanego w podsanockiej wsi?

Chyba tak. Ile razy chcemy być szczerzy — wracamy do dzieciństwa, do tego świata, który zawsze wydawał nam się najpiękniejszy. Powrót do dzieciństwa nie jest żadną ujmą, „hańbą” czy upokorzeniem intelektualnym, jak sądzą niektórzy. Wprost przeciwnie: pozwala na najszczerze, a często i najpełniejsze wypowiedzenie się, a chyba sam wiesz, że dzieciństwo,

niezależnie od tego, jakie ono było, nie przypomina rzeczy przykrych, nieprawdziwych, żelaznych.

Wydaje mi się, że cała twoja twórczość to rezultat jakiejś walki, zmagania się. Myślenie tu nie tylko o opornym materiale, betonie, stali, żelazie, ale o czymś szerszym. Czy to nie jest w ogóle jakaś ciągłość twojej drogi do sztuki. Trafles do niej, powiedziałabym w nietypowych okolicznościach. Do Liceum Sztuk Plastycznych wyjechałeś, nazwijmy to, nie zawiadaniając najbliższych... Czy to nie jest ta sama sprawa samodzielnego szukania własnej drogi do poznania, sprawdzenia i wyrażenia siebie, bez względu na ryzyko, jakie stwarzają takie poszukiwania? Masz chyba rację. Wiem, czuję to, że ciąży na mnie, może nawet pewna obsesja, która w okresie studiów poważnie mi przeszkadzała, a dziś wręcz przeciwnie — bardzo mi pomaga.

### JAK MAM TO ROZUMIEĆ?

Nauczyłem się jednego: żeby coś zrobić trzeba bardzo dużo pracować, trzeba włożyć w pracę wiele wysiłku, bez jakiegokolwiek odfakowywania problemów, jakie człowiek przed sobą stawia.

To musi być konkretny, bardzo uczciwie wykonany do końca, w którym jest miejsce i na uczucie, i na

(Ciąg dalszy na str. 3)

W roku 1770 dwudziestokilkuletni Franciszek Karpiński, student teologii kolegium jezuickiego we Lwowie, a zarazem śpiewak Justyny, korzystając, że jego przyjaciel Puzyna wraz z gubernierem jezuitą Kobylańskim udaje się do wiedeńskiego Theresianum, pospieszył wraz z nimi po raz pierwszy za granicę. W kraju od dwu lat wrzała nieustanna wojna domowa między partyzantką konfederatów barskich a uganiającymi za nią wojskami rosyjskimi. Szczególnie dawała się ona we znaki w Galicji. Młody poeta, sympatyzując początkowo z walczącymi o utrzymanie zagrożonej niepodległości ojczyzny konfederatami, zamierzał wziąć udział w walce. Ponieważ ich wyczyny, jego zdaniem, niewiele pożytku mogły przynieść krajowi, wolał uciec za granicę. O powzięciu decyzji tak pisał w „pamiętnikach”: „Czas to był, w którym i ja, ruszony patriotyzmem (...) miałem się przyłączyć do nich i już w tym celu wszystkie zrobiłem przygotowania, ale widząc największą między nimi niesforność, pijanstwo i rabunki, zupełnie tę myśl z głowy usunąłem...”

Droga do Wiednia wiodła przez Kraków i zatłoczona była oddziałami konfederackimi, które na każdym kroku wyrzucały pocie, że w tak ważnej chwili opuszcza kraj. Podążając do Krakowa podróżni zatrzymali się w Głogowie u księżnej Branickiej, starościny bolimowskiej, zaciętej, jak i jej brat, konfederatki. „Tam u księżny — pisze Karpiński — nasłuchałem się modlitw publicznych ku potłumieniu króla. Tam prócz innych konfederatów poznałem i Potockiego, starostę szczerzeckiego, który potem od konfederacji był posłem do Konstantynopola, a który wkrótce w Wiedniu będąc, wiele mi dowodów przyjaźni swojej doświadczył”.

Za półtora roku, tęskniąc za opuszczonym krajem, czego dowodem był napisany w Wiedniu utwór: „Tęsknota do kraju”, w roku 1771 wrócił Karpiński do ojczyzny. Podróż odbywał już innym szlakiem, którym za lat kilkanaście podążył z wód do swych krewniaków w rodzinnym Dubiecku poeta biskup Ignacy Krasicki: Dunajem przez Peszt, Preszburg, „na Lipsk”. Stając na górach karpackich oszołomiony był Karpiński widokiem ujranej ojczyzny.

Tereny owe poeta przemierzał jeszcze niejednokrotnie. Odwiedzał bowiem krewnych w Partyni koło Tarnowa. Jedną z jego podróży została poetycki ślad: „Podróż z Dobiecka na Skalę”. Kiedy autor

sienianek po zawiedzionych nadziejach, jakie pokładał w Czartoryskim („Podróż z Warszawy na wieś”), w roku 1883 powrócił znowu do Galicji, gdzie latem następnego roku znalazł się w Dubiecku,

### ALEKSANDER ŻYGA

## Karpińskiego „Podróż z Dobiecka na Skalę...”

własności Antoniego Krasickiego, brata księcia biskupa. Zaczęto tego pomnożyciela rodu Krasickich, jego staropolską gościnność i cnotę, którego Dubiecko, zwłaszcza w rzadkich chwilach odwiedzin księdza biskupa, ściągało całą kulturalną elitę okolicznej szlachty, tak opiewał nadworny poeta księcia biskupa, Joachim Kalnassy:

„Pierwsze zaświadcza sąsiedztwo całe,  
Głośnie o tym wszędzie mowa,  
Wspomina dzieła two okazałe,  
Nozdrzet, Iskań, Nienadowa”.

„Podróż z Dobiecka na Skalę” stanowi opis jednego z epizodów odwiedzin A. Krasickiego: odbytej przez poetę w towarzystwie kobiet wycieczki uroczymi brzegami Sanu do pobliskiej Skali. Dołączył ją poeta do listu Sewerynowi Rzewuskiemu. Po raz pierwszy ukazała się drukiem w roku 1787 w siódmym tomiku „Zabawek wierszem i prozą”. „Stało się, jak Pan rozkazał — pisał do adresata. — Wierszem przeze mnie świeżo opisaną podróż z Dobiecka na Skalę (gdzie u hrabiego Krasickiego byłem i sam tę podróż pod imieniem Filona, jak jest w wierszach, odprawiłem), posyłam, obiecując i na potem, jeżeli się co napiszę trafi, z równą dbałością przesyłać (...) Opisując podróż, która prawdziwie była, trzymałem się wiernie przygód, jakie

tylko w tej podróży trafiły się. Już tedy tym sposobem ja chyba tylko za rymowanie często niegładkie obwiniony będę”.

I poeta, jak wszyscy przybyście Dubiecka, uległ urokowi cnoty jego właściciela:

„Z Dobiecka, gdzie Pan miejsca w dawnej swej dziedzicze,  
Staropolską szczerością i cnotami słynie,  
Gdzie z nim żona przykładna pouczyła  
dzieci,  
Ze jedne pełnią cnoty przed oczyma  
matki,  
Drugie patrząc z plinnością na starszych  
przykłady,  
Myślą: «I my też kiedyś pójdziemy  
w ich ślady»”.

Rozpoczyna poeta swój utwór, przechodząc do konkretnego opisu wycieczki. Porzucenie częściowe — jak to widać z listu do S. Rzewuskiego — pierwotnej bukolicznej konwencji, gdzie według mody wieku, występujące osoby ukrywały się pod sielankowymi imionami — sam poeta był tu Filonem — przydaje „Podróż” pewnej dozy autentyczności i „realizmu”. Zostawiając na boku przygodę i perypetie towarzysztwa, żartobliwe, humorystyczne, często nawet makabryczne dygresje „Podróż z Dobiecka na Skalę”, uważana za naśladownictwo z Horacego, okazuje się opisem pięknych widoków najbliższych okolic Dubiecka, przesuwał się z kalejdoskopową szybkością, zależnie od miejsca obserwacji: z brzegów Sanu czy płynącego po nim czołna. Na narysowany przez poetę sztafaż pejzażu składają się tu wzgórza i doliny, lasy i skały, niebo i woda, opromienione czerwienią zachodzącego słońca. Widokowi z góry:

„Nad samym dwór Dobiecki brzegiem  
Sanu leży,  
Który niedostatecznymi zakrętami  
bieży,  
Wdzięczne kępy czystymi ramiony okrywa,  
Chytry, sam je porobił, i sam je zalewa!”

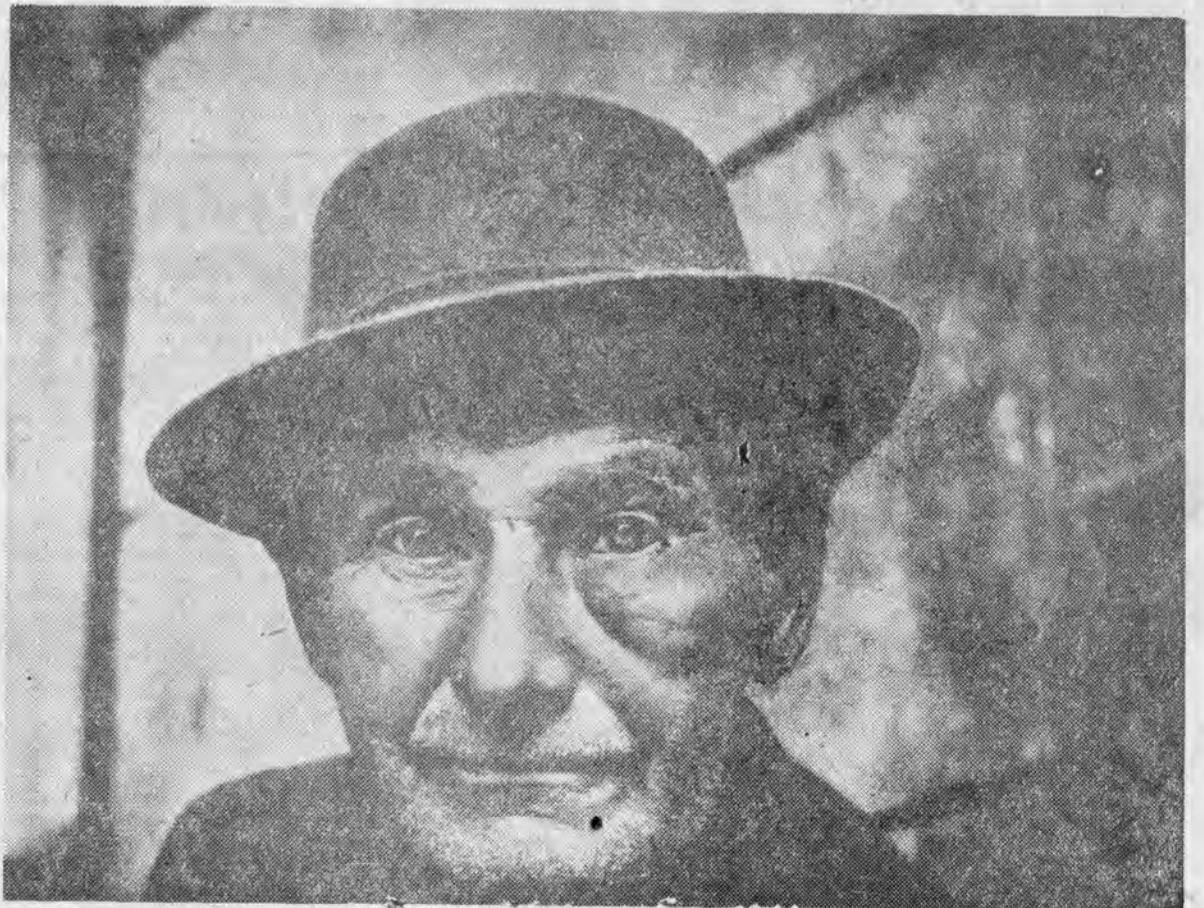
przeciwstawił poeta widok z dołu: „Ziemia, wody, opoka, które tak zachwale,  
Z dołu, patrząc niebiosom panować  
się zdaly”.

Cały ów kalejdoskop widoków zostaje pochłonięty przez zapadający zmrok, w którym

„(...) niebo stare swoje panowanie  
wzięło,  
ziemię z wodą, z lasami w swym łonie  
zamknęło”.

Dokładna i szczegółowa konfrontacja opisu Karpińskiego z topografią okolic Dubiecka nadałaby niewątpliwie utworowi Karpińskiego rangi dokumentu malarskiego. Dzięki tym uroczym poetyckim opisom pięknej „wstęgi Sanu” torował śpiewak Justyny drogę poezji tej rzeki, którą za nim kontynu-

(Ciąg dalszy na str. 4)



Fot. PER BORTINO

# Picasso w oczach żony

Przeżyła z nim 10 lat. Była świadkiem najbliższym wielu osobistych sukcesów i rozczarowań. Wyniosła z tego małżeństwa 18-letniego dziś syna Claude'a przeświadczenie o genialności współtowarzysza oraz pewność, że pozycje z geniuszem nie jest łatwe. Wiele wspomnień zamknęła w książce, którą nadesłała jako pracę konkursową dla krytyków sztuki do Carlton Lake. Wydawszy ją, z góry chyba wiedziała, że stanie się bestsellerem.

A oto kilka „nagich” faktów o tym najbardziej dyskusyjnym malarzu naszej epoki, opracowanych na podstawie fragmentów książki Francoise Gilot:

Z odrobiną nostalgii i smutku wspomina Picasso tuż po ostatniej wojnie okres swego pobytu w słynnym siedlisku artystów na Montmartrze — w Bateau Lavoir. Ten „okres niebieski”, który zapoczątkował legendę o malarzu, był jednocześnie jego złotym wiekiem, kiedy zaczynał swój podbój świata,

kiedy wszystko wydawało się świeże, nietknięte, stanowiło początek wyważenia wrót do wielkiej tajemnicy twórczości. W latach późniejszych odkrył nagle, że podbój był wzajemny, obustronny; świat zachwytując się jego sztuką, jednocześnie kupował go na użytek publiczny, coraz bardziej wciągając go we własne problemy, gdzie sztuka stanowiła tylko jedno z wielu zainteresowań. Kiedy odkrył ironię paradoksu o obustronnym podboju, był gotów wypróbować wszystko, aby odnaleźć swój złoty wiek i powrócić do czasu swobodnego, nieznanym nie skrepowanego artysty.

Wtedy zaczęły się jego ponowne wędrówki po Montmartrze, powroty do Bateau Lavoir i wspomnień o przyjaciółkach. Wydawało mu się, że wystarczy nacisnąć kławkę dawnej pracowni, by wrócić do „niebieskiego okresu”.

Długi, jednopiętrowy budynek-szopa o dwojgu drzwiach: tu malował Juan Gris, tu prawie pod jego pracownią mieszkał świetny poeta — dziwak Max Jacob, który posiadał zdumiewający talent wyszukiwania u bliźnich uciążliwych i czułych miejsc, tu wreszcie częstym gościem bywał Apollinaire, któremu Jacob dokuczał, pokpiwając z hrabiny Kostrowickiej — jego matki.

Teraz patrząc na Bateau Lavoir Picasso rzekł: „My tam jesteśmy”. A kiedy stał kiedyś przed drzwiami swego atelier na piętorku, gdzie wisiła tabliczka z nieznanym mu nazwiskiem, stwierdził poważnie: „nie wiem, kto tu teraz mieszka, ale to przede wszystkim moja pracownia... i wystarczy tam wejść, by znaleźć się we wnętrzu okresu błękitnego”. Drzwi jednak były zamknięte, okres błękitny pozostał za nimi — na drugim brzegu...

Picasso nie mógł nigdy pogodzić się z nieubłaganiem działaniem czasu, przez które zatracal swoje pierwsze pojęcia o rzeczach. Długo wspominał małą córkę konserżki, skaczącą na skakance; moment, kiedy po latach ujrzał ją postarzałą kobietą przeżył jako wstrząs psychiczny. Uzmystowiła mu uciekanie czasu. Przypominał się do pierwszych wyobrażeń. Był zdania, że model z jakąś zdecydowaną osobowością, wieniec być trzymany w ukryciu, albowiem wszystkie jego kontakty osobiste ze światem zewnętrznym, w prostej linii będą prowadziły do zatarcia indywidualności, do wynaturzenia samego modelu.

Najdłuższe dysputy na temat sztuki wiodł ze swoim nieodłącznym przyjacielem — George Braque'm. Zabawne trochę, a jednocześnie dość znamienne i potwierdzające wielki wysiłek twórczy malarza było pewne spotkanie dwóch artystów, o którym Picasso tak opowiadał:

„...prawie każdego wieczora szedłem odwiedzić Braque'a w jego atelier, lub też on przychodził do mnie. Absolutnie trzeba było podyskutować o pracy wypełniającej nam dzień. Płótno nie mogło być skończone, jeśli któryś z nas nie był co do niego zgodny. Przypominam sobie, że Braque pewnego wieczora był w trakcie malowania wielkiej martwej natury, w owalu, z pudełkiem tytoniu, fajką i innymi uszkieconymi rekwizytami kubizmu. Obieirałem obraz, cofnąłem się i rzekłem:

„Mój biedny przyjacielu, to jest wstrząsające, ale ja widzę wiewiórkę na twoim płótnie”.

„Ależ to niemożliwe” — krzyknął Braque.

„Zgoda, to jest może paranoja, ale ja widzę wiewiórkę!”. A płótno nie powinno dawać złudzeń optycznych. Ludzie odczuwają potrzebę rozpoznania przedmiotu; ty chcesz, by widzieli pudełko z tytoniem, fajkę i inne nieodzowne elementy. Ale, na miłość boską, najpierw musisz pozbyć się tej wiewiórki”.

Braque odszedł kilka kroków, obejrzał obraz z wielką uwagą i... spostrzegł wiewiórkę, ponieważ ten rodzaj złudzeń jest na pewno zaraźliwy.

Odtąd walczył z wiewiórką całym dniami. Zmieniał formy, oświetlenie, kompozycję — ale wiewiórka uparcie wracała. W końcu, wreszcie złudzenie i płótno stały się na powrót paczką tytoniu, fajką i przede wszystkim płótnem kubistycznym.

Od tej pory nasze dzieło stało się rodzajem poszukiwawczego laboratorium, do którego nie wkraczały nigdy żadne pretensje ni osobista próżność”.

Interesujące i zarazem charakterystyczne dla jego przekonań było spotkanie w pierwszych dniach po wyzwoleniu Paryża z Andre Bretonem. Kiedy ten papież surrealistycznej poezji pojawił się pod balkonem Picassa, malarz na łeb na szyję wyleciał z mieszkania (przekonany, że Breton szuka go, pragnie odnaleźć) i z wyciągniętą ręką biegł mu naprzeciw. Breton, który spędził okres okupacji poza Francją zdążył jednak już dowiedzieć się o przekonaniach Picassa; zwłaszcza jednego z nich — świeżej przynależności do komunistycznej partii nie mógł mu darować. Reki nie podał. Zaskoczony taką reakcją dawnego przyjaciela Picasso usiłując wytłumaczyć własne przekonania przede wszystkim doświadczeniem przeżytych lat; nie mają one zresztą dla niego nic wspólnego z przyjaźnią, która jest wyższa nad różnice w interpretowaniu historii.

Breton dogmatycznie konsekwentny, z kamiennym spokojem oświadczył, że jego zasady nie zostawiają żadnego miejsca kompromisom.

Wtedy, nie zniechęcony Picasso, usiłując ratować ich przyjaźń, wspomina Madryt i mówi:

„W czasie mego pobytu w Hiszpanii, w latach trzydziestych, spotykałem często grupę intelektualistów, zbierających się w jednej z kawiarni. Wyznawali, jedni i drudzy, zasady zupełnie przeciwstawne sobie. Niejednokrotnie toczyliśmy wściekłe dysputy i wiedzieliśmy, że w razie konfliktu będziemy we wrogich sobie obozach; lecz żaden z nas nie widział w tym wystarczającego powodu do zrywania przyjaźni. Wprost przeciwnie, sądziłem — jeżeli nie myśli się jednakowo o przedmiocie, nie pozostać nic innego, jak tylko zostawić dyskusję nad nim otwartą”.

Pamiętają go wszyscy z tego okresu, jak ubrany w swoją spłowiałą jasnobłękitną gabarynę, zmiętoszone spodnie i zdeformowaną, stary kapelusze mocno wciśniętą na oczy, z połami długiego zielonkawego szala, zarzuconymi modą artystyczną na ramiona, przemierzał wąskie uliczki Paryża, pozornie niewrażliwy na teraźniejszość, szukający swego dawnego złotego wieku, mimo wszystko nieustannie przetwarzał rzeczywistość w genialne koncepcje malarskie. Myślał, że takim zachowa się w pamięci współczesnych, wbrew anegdotom czasem złośliwej, czasem śmiesznej. A że każde świadectwo o geniuszu winno być pieczętowane chrotonem — zapewnić chyba nie trzeba.

Opracowała według „Paris Match”  
KRYSZYNA ŚWIERCZEWSKA

## Jubileusz Hugona Morycińskiego



HUGON MORYCIŃSKI, dyrektor i kierownik artystyczny Teatru im. W. Horzycy w Toruniu, obchodzi w tych dniach jubileusz 40-lecia pracy aktorskiej. Rozpoczął ją w roku 1925, w Miejskim Teatrze w Lublinie, kontynuując jednocześnie studia prawnicze. Następny etap to praca u Osterwy w warszawskiej Reducie. Wierzył ją po trzech latach sukces nie był jaki: Osterwa powierza Hugonowi Morycińskiemu kierownictwo Reduty. W r. 1934 dyr. Moryciński zostaje sekretarzem literackim Teatru Polskiego i Małego, a następnie generalnym sekretarzem literackim teatrów warszawskich. Po złożeniu egzaminów reżyserskich w Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej obejmuje stanowisko dyrektora Teatru Popularnego i Teatru Małego w Łodzi. Po wyzwoleniu początkowo reżyseruje w teatrach warszawskich, a następnie jest kolejno dyrektorem teatrów: w Kielcach, Szczecinie, Gdańsku, Rzeszowie, Bydgoszczy. Bardzo bogaty jest dorobek reżyserski Jubilata. Krytyka przede wszystkim podkreślała jego osiągnięcia reżysersko-inscenizacyjne w takich sztukach, jak „Sen nocny letniej”, „Burza”, „Wesele”, „Baładyna”, „Noc Listopadowa”, „Kordian”. Hugon Moryciński jest również wychowawcą licznej kadry aktorskiej.

Na zdjęciu: Hugon Moryciński.  
CAF — fot. GILL



## „Rzeszowski numer „Głosu Młodzieży Wiejskiej”

Kontakty kształtujące się w Rzeszowie środowiska literackiego z czasopismami i literatami krakowskimi są ostatnio coraz żywsze i korzystniejsze. Na ich ożywienie wpłynęła niewątpliwie działalność Klubu Literackiego w Rzeszowie, który zresztą znajduje się pod bezpośrednią opieką krakowskiego oddziału ZLP. Klub już dwukrotnie gościł u siebie Stefana Otwinowskiego; z referatem o debiutach prozatorskich roku 1964 wystąpił krytyk Jacek Kajtoch; przyjęli zaproszenia Wiesława Szymborska, Jerzy Lovell i Jan Zych. Adam Włodek, doświadczony opiekun młodych poetów znany z działalności w krakowskim Kole Młodych utrzymuje stały kontakt z rzeszowskim KKM-em. Z tym zacieśnianiem stosunków wiąże się coraz częstsza obecność młodych pisarzy rzeszowskich na łamach krakowskich periodyków.

Po „Forum” (pisałem o tym w „Widnokrąg” w Krakowie „Głos młodzi wiejskiej” udzielił rzeszowskiemu gościowi w ostatnim, marcowym numerze Drukują tam swoje wiersze — Czesław Piotr Kondraciuk, Bronisław Dryja Marjan Berkowicz, Emil Granał Tadeusz Kubas, Józef Janowski

Barbara Tondos, Zdzisław Ostrowski, Wincenty Zawirski, Wiesław Kulikowski, Andrzej Zabierowski Zdzisław Teneta, Ludmiła Pietruszkowa i T. Piętko. Strony z poezją zdobną reprodukcje prac rzeszowskich artystów: Zdzisława Ostrowskiego, Mariana Stelmasika, Alfreda Kuda, Adolfa Jakubowicza i Zuzanny Kusek. Z tego dużego zestawu różnorodnych wierszy zasługują moim zdaniem na wyróżnienie dojrzałe i oryginalne utwory Zdzisława Ostrowskiego i Tadeusza Piętko.

Prozę artystyczną reprezentuje fragment powieści Wiesława Koszeli „Gorzkie czereśnie”. Sądząc z publikowanego urywka powieści zapowiada się interesująco. Jest w tej prozie wyrazistość obrazu, jedyna soczystość języka i duży ładunek liryzmu utajonego w pozornej rzeczowości relacji.

Ponadto Bogdan Loebel w raporcie „Fanatycy słowa”, pisze z uznaniem i życzliwością o Amatorskim Teatrze Słowa „Meluzyna” przy Domu Kultury WSK w Rzeszowie — zespole znanym i wielokrotnie nagradzanym na ogólnopolskich festiwalach teatrów poezji. Wspomina przy tym o zbliżeniu, które nastąpiło między Klubem Literackim a „Meluzyną”. Pierwszym owocem tego zbliżenia będzie wspólnie przygotowany

wieczór wierszy miłosnych rzeszowskich poetów.

Adam Włodek w szkicu „Przygoda i pionierstwo” pisze o próbach krystalizacji w Rzeszowie środowiska literackiego, o inicjatywach i działalności KKM-u w tym kierunku i Klubu Literackiego. Reportaż Adolfa Jakubowicza o życiu nauczycieli w Bieszczadach i artykuł Haliny Mańkowskiej o polityce i sytuacji kulturalnej w województwie rzeszowskim to dalsze publicystyczne akcenty w piśmie. Ze względu więc na ilość i dobór materiałów marcowy numer „Głosu młodzi wiejskiej” można nazwać rzeszowskim. Szkoda tylko, że ten miesięcznik rzadko ukazuje się w kioskach „Ruchu” na terenie naszego województwa. Należy przypuszczać, że współpraca rzeszowskiej młodzieży literackiej z „Głosem” będzie nadal rozwijać się równie korzystnie, obok kontaktów z „Forum”, „Żydem” Literackim i „Kamienią”.

Ma to dla niej duże znaczenie, gdyż rozwijać się, doskonalić warsztat i docierać do odbiorców można jedynie przez częste publikowanie utworów. To jest warunek konieczny przy próbach kształtowania u nas jednolitego środowiska literackiego. JG

JAN ŁYSAKOWSKI  
„SAMOBÓJCA”

(Fragment przygotowanej do druku książki „Dowódca...”)

Kompania to wyższy stopień wtańnienia. Ponadto dowodzenie kompanią oznacza, że się ma w pułku pewną pozycję. Bo tak jak w każdej społeczności i tu istnieją różne grupy. Najwyższa to oficerowie sztabu i dowódcy baonów. Wiedzą najwięcej, decydują o wielu sprawach, są najbliższą „wielkiego ołtarza”. Potem idą właśnie dowódcy kompanii. Są to dowódcy już do pewnego stopnia samodzielni. Bo to i pewna swoboda w planowaniu szkolenia, bezpośrednio zależność od sztabu pułku w sprawach gospodarczych, bądź co bądź jakiś zamknięty organizm organizacyjno-taktyczny... No i co nie jest bez znaczenia dla ambicji — to jest pierwszy szczebel, na którym ma się podwładnych oficerów... Oczywiście, że zwiększone uprawnienia z reguły pociągają za sobą i zwiększone obowiązki. Jakoś to jednak w marzeniach o tych obowiązkach nie bardzo chciało się myśleć. Co tam, da się radę... Ostatecznie nie święci garnki lepią...

A w ogóle to cekaemiści stanowią pewną elitę. I umieć trzeba więcej niż dowódca kompanii piechoty i jest się tym drugim za pomocą dowódcy baonu. Zawsze przecież w rozkazie bojowym jest niezmiennie stwierdzenie:

— Pierwszym zastępcą jest szef sztabu baonu, a drugim dowódca kompanii cekaem... Bądź co bądź z kompanią moździerzy jest się tą główną siłą ogniową baonu...

Z czasów, gdy byłem dowódcą plutonu pamiętam, że życie dowódcy kompanii było wcale niezłe... Zajęcia prowadzili dowódcy plutonów, gospodarke szef, pracę polityczną zastępca. Dowódca miał tylko koordynację i kontrolę...

Właściwie to najszybsze są pierwsze chwile dowodzenia. Przychodzi człowiek do kompanii, a tam wpatrują się w niego dziesiątki oczu. Każdy, od dowódcy plutonu począwszy do szeregowca chce się pokazać jak najlepiej. Przecież nowy nikogo nie zna i od pierwszego wrażenia dużo zależy... Tymczasem człowiek widzi tylko dobre strony swego nowego stanowiska. Ludzie zrywają się na baczność, dyżurny czeka na wejście dowódcy,

BARBARA SIDORCZUK

# Porachunek

Nim ta rozmowa dobiegnie końca, kilkakrotnie w ciszy nocnej zabrzmi rozpaczliwie, trwoźnie lub ponagliwająco okrzyk: doktorze!... Oderwie się wówczas od wspomnień, przetrwie w pół zdania, oprzytomnieje i odejdzie w mrok korytarza szpitalnego. Z innego już wymiaru; czujny i opanowany. Precyzyjny w geście, kojący, odpowiedzialny za lęki nocne ludzi powierzonych jego opiece. Gdy wróci, trząśnie zapałką (doktor za dużo pali, doktor lekceważąc zalecenia lekarzy). Szukać będzie nadal, śledzić zygaki własnego życia; doprowadzą go one do tego punktu w życiorysie, który znać będzie KS. Kara śmierci.

— Co to znaczy: być uczciwym?... Czy człowiek, który zawiódł, może być uczciwy?... Czy zbiór atomów, atomów w ruchu, był wczoraj tym samym zbiorem co dzisiaj? Nie jestem filozofem, jestem lekarzem. Mój dekalog prywatny brzmi: pierwsze — będziesz uczciwy, drugie — będziesz uczciwy, trzecie — będziesz uczciwy... To było 20 lat temu. Który z moich czynów był pierwszym niezaprobowanym przez „szczęstwo”? Czy mieli prawo skazać, a jeśli tak, to czy mieli prawo uwolnić? Właśnie wtedy. Dzisiejszy miar nie sposób przykładać do wydarzeń sprzed lat 20. Dziś mówimy innymi językami, młodzież ocenia bohaterów filmowych opowieści o pierwszym dniu wolności z zależności od ich gry...

Historia dokonała rozliczenia z pierwszym dniem wolności. Przyjął to rozliczenie spokojnie, rzec by można — z aprobatą. Ale ma swoje własne porachunki z tym innym człowiekiem sprzed 20 lat, który jest nim samym. Nocami zwłaszcza, gdy pęknie tama wspomnień, stają naprzeciu siebie i wykładają własne racje: ofiarny lekarz, społecznik i entuzjasta oraz chłopiec z karabinem. Cóż za rację może mieć 18-latek, od którego żądano wtedy przede wszystkim celności strzału? Ale on był zawsze hojny. Do walorów strzeleckich dołożył jeszcze serce i wiarę. Wtedy, gdy zrobili „skok” na więzienie, na spisie karabinu „naciśnięta” właśnie wiara. Wiara, że z więzienia uwolnić trzeba najlepszych. Strzelał celnie, przed bramą upadł strażnik. Inny człowiek. Z jego śmierci obecnie wciąż pragnie się rozliczyć.

Ujęto ich prawie wszystkich. Kłopotliwy to był gatunek przestępców. Racja stanu dyktowała: rozprawić się z podziemiem jak najsurowiej. Racja stanu nie przewidywała, że podziemie w tym wypadku nie miało jeszcze, poza dwoma, ukończonych 18 lat. Ich dwóch odpowiadało jako ludzie dorośli. Pospieszna, krótka rozprawa w warunkach

przyfrontowych i najsurowszy wyrok. Racja stanu musiała poczuć się zażenowana; wykrywający kraj nie stać na dalsze ofiary. Jak zresztą zamknąć usta dzieciom, które jeszcze nie miały okazji zademonstrować swoich racji w normalnych warunkach? Więc zulekano z wykonaniem wyroku, a oni szarpali się w celach, sądząc, że to rodzaj wymyślnych tortur. Mijały tygodnie. Tygodnie dziecięcego przerażenia i dorosłej trwogi.

Nie wiedzieli w celach, że wieść zbiera podpisy. Na prośbie o łaskę nie zabrakło ani jednego nazwiska. „Zwracam się z najgorętszą prośbą...”. Tu następowało wyliczenie wszystkich zalet dwóch „skazańców”. Sporo tego było Najdoniośle jednak zabrzmiał argument o wieku. — Młodzi, ale zabijać to potrafili — powiedział ktoś zmęczonym głosem w Warszawie, gdy pojechali z petycją. Za dużo było też młodzieży umiejscowionej strzelnie celnie, jak na potrzeby kraju udręczonego okupacją. Czy karać wszystkich, nawet tych niesprawdzonych działaniem w normalnych warunkach? Ułaskawili. Potem przyszła amnestia. Jak ze złego snu wyszedł przed bramę więzienia. Chłopiec — wczoraj z karabinem, dzisiaj — z balastem najcięższego doświadczenia.

A tymczasem w kraju ruszyły pociągi, rozgwarzyły się klasy szkolne, na polach szumiła zboże. Był dzień powszedni nowej rzeczywistości. On zamknął się w chałupie rodzinnej i czekał. To nowe dzisiaj — nie mogło być prawdą. Nie mogło nią być tak zwyczajnie, tak po prostu. A jeśli było — to gdzie jest jego miejsce?

Chyłkiem, wieczorem wsiadł do pociągu. W Warszawie nikt go nie znał. Stanął do pierwszej pracy, do jakiej go chcieli wziąć. Potem poszedł do kuratorium: — Jestem po wyroku śmierci... — zaczął swą prośbę. Ale w kuratorium nie mieli czasu na wzruszenia: — Do której klasy? — zapytano krótko, po czym podano adres szkoły, do której zostaje skierowany. I tak usiadł na ławie szkolnej. Kuł jak szatan. Odgrywał się na tym swoim zbluffowanym życiu formułami gramatycznymi i prawami fizyki. Przeskakiwał semestry, celując we wszystkich przedmiotach, milkliwy, niechętny za nieufność. Potem skończył medycynę.

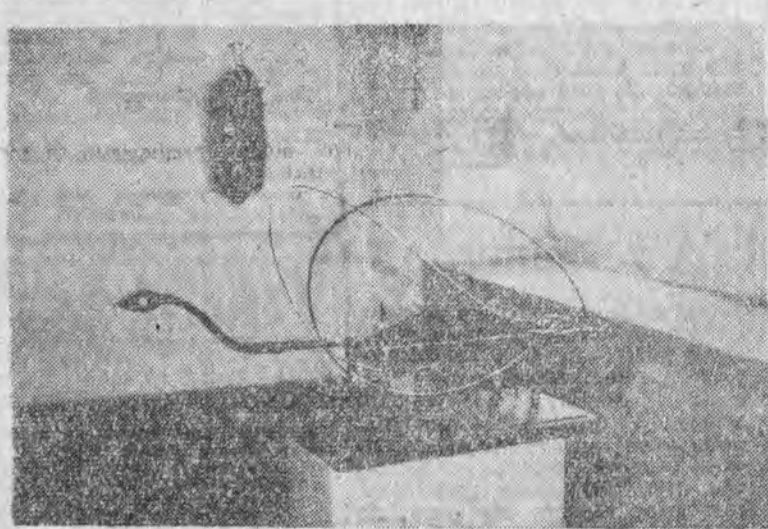
A potem była pierwsza samodzielna operacja. Stanął nad stołem, na którym leżał człowiek. Dla niego był to tamten, który upadł przed bramą

więzienia w roku 1945. Czekał na pomoc Trzeba mu pozwolić żyć. Nie wolno zabijać drugiego człowieka. Mózg ogarnia ułaska ciska, ręce stają się precyzyjne i sprawne. Doktor zdaje praktyczny egzamin z umiejętności medycznych. Nie, to nie to. Doktor zdaje egzamin znacznie ważniejszy: on ratuje człowieka. Aby zabić — trzeba było sekundy, aby wrócić życie — trzeba było lat pracy i obecnego, skupionego wysiłku.

Jest rewelacją wśród młodego lekarskiego narybku. Talent, pełne poczucie odpowiedzialności plus maksymalna ofiarność. Spokojny, cierpliwy i... nereszcie pogodny. Powoli narastać zaczyna legenda; szczęśliwa ręka, nadzwyczajne serce. Legenda ma wymiar jednego szpitala, ale który z młodych lekarzy nie marzy chociażby o takiej? Jest zapowiedzią, pierwszym symptomem lekarskiego powodzenia. I wówczas rzeka zdobyty już teren.

Organizuje mały ośrodek wiejski, gdzie odbiera się porody, szyje rany po burdach i tłumaczy, że kółka to nie choroba. A gdy wieś ucivilizowała się i „ukulturalniła” — idzie do szpitala powiatowego.

Nim ta rozmowa dobiegnie końca, świat zajrzy do okien. Nim padnie ostatnie słowo tej zażartej dyskusji dwu racji jednego życiorysu, wielokrotnie zabrzmi wyczekującą i z nadzieją: doktorze!... I wtedy przetrwie w pół zdania i pójdzie w mrok korytarza szpitalnego, by pochylić się nad czymś leżącym. I tylko, gdy pozwoli sobie na luksus wspomnień, zakończy je żarliwym pytaniem: czy już jesteśmy skwitowani? Będzie to pytanie pod adresem chłopca z karabinem.



# Sztuka — to serce i temperament artysty

(Ciąg dalszy ze str. 1)

intelektualne rozważania i na to wszystko co nazywa się sztuką. W twórczych pracach jest wiele cełz, groteski, humoru. Są w nich, wydaje mi się, reminiscencje jasłkowych postaci, ich umowność, a równocześnie jednoznaczność... Zawsze twierdzą, że tyle jest komedii w powadze ile powagi w komedii. Popatrz na niektóre uroczystości, spotkania, posiedzenia... Popatrz na ludzi, których znałeś dotąd jako normalnych, skromnych obywateli, co się z nimi dzieje, gdy ich powołają za stół prezydalny... Jakże przybierają poważne i uroczyste miny. Stąd chyba wyciągnęłam wniosek dla siebie, by mówiąc o rzeczach śmiesznych, zmieszać w nich całą powagę życia.

Twórczość twojej przypisuje się cechom sztuki pełnej fantazji, temperamentu, żywiołowości. A równocześnie prace, które miałem możliwość oglądać budowane są w sposób bardzo celowy i zamierzony. Jak to się dzieje?

Wydaje mi się, że w sztuce wszystko powinno mieć jakiś określony cel. Jeśli wychodzimy z tego założenia to wszystkie elementy obrazu, rzeźby spełniać powinny określoną rolę. W dobrej sztuce jest wiele z tego chłopkiego poczucia celowości formy i przedmiotu.

### PRZYKŁAD?

Zwyczajny, drewniany, wiejski płot. Ma niezwykłą prostą konstrukcję złożoną z elementów poziomych i pionowych. W kompozycji tej zawiera się właściwie cały podstawowy symbol znaków plastycznych znanych każdemu artyście, a tak znakomicie odczytanych

przez nieuczonych cieśli i stolarzy. W czasie jednego z pobytów w Rzeszowskim, gdy wspólnie z kolegą oglądaliśmy wytwory sztuki ludowej, wycinanki, pajaki ze słomy, zwróciliśmy uwagę na to, że artysta ludowy tworzy inaczej niż absolwent Akademii, nie tylko ze względu na dzielące ich różnice wykształcenia, wiedzy, możliwości wypowiedzi. Różnica polega również na czymś zupełnie innym.

Oto przedświąteczna sobota, taka jaką znam, jaką pamiętam. Już jest po świątecznych porządkach, zamieciono podwórkę, wyblonione izby. Do świeżo wymytego stołu zasiadają domownicy i zaczynają malować pisanki. Jest to niemal obrządek. Każdy chce, by jego pisanka była najpiękniejsza, najbardziej kolorowa. Tu, w takich okolicznościach rodzi się wspaniała, radosna, spontaniczna sztuka, którą później etnografowie i krytycy tak umiejętnie i naukowo analizują (nie zawsze zresztą potrzebnie). Sztuka ta rodziła się z serca.

Myślę o takim właśnie stosunku artysty do świata: szczerym, bezinteresownym. Jestem przekonany, że sztuka, jeśli chce oddziaływać, musi być czymś więcej niż chłodną spekulacją myślową. Musi zawrzeć — sądzę, że to nie za wielkie słowo — temperament i serce artysty.

Przebywając ostatnio w Muzeum Szańckim widziałem tam kilka twoich prac. Byłem mile zaskorzony, że mając tyle korzystnych ofert od zagranicznych marchandów ofiarowałeś je Muzeum.

### JAKIE BYŁY MOTYWY TEJ DECYZJI?

W czasie wakacji spotkałem się z dyrektorem tej placówki panem Szańskim. Po rozmowie z nim doszedłem do wniosku, że nie czekając na zakupy powinienem przekazać jej kilka swoich prac. Jest to zresztą mój moralny obowiązek wobec stron rodzinnych. Będzie mi miło i z własnych prywatnych względów. Być może, po latach mój syn zwiedzając Muzeum w Sanoku powie: „o, praca taty...”

### DZIĘKUJĘ CI ZA UWAGI

Pozegnaliśmy się późnym wieczorem. Spotkamy się na otwarciu wystawy Mariana w Rzeszowie. Spotkamy się z interesującym, oryginalnym artystą i skromnym jak dawniej, jak w tamtych niełatwych latach, człowiekiem.

Rozmawiał ADOLF JAKUBOWICZ

by złożyć raport, wyciągnięty dwuszereg czeka na rozkazy. Na razie trwa „miodowy” okres, przyjmowanie majątku, zapoznanie się... Nie ma jeszcze trudnych spraw...

Nawet nie myślałem, że kompania ma aż tyle sprzętu. Uzbrojenie, umundurowanie, sprzęt kwaterunkowy, saperski, chemiczny, świetlicowy...

No, no, ale się uzbierało... Potem rzeczywistość jest jak zwykle inna niż wyobrażenia. Przychodzi kolowrotek codziennych spraw. I przychodzi odczucie ciężaru dowodzenia i odpowiedzialności. Każdy przychodzi po decyzję. A ty, dowódcu, nie masz prawa się przed nią uchylić...

Któregoś dnia przyszedł do mnie kapral Małek, dowódca drugiego plutonu. Tylko pierwszym dowodził oficer, drugi i trzeci były obsadzone podoficerami...

— Obywatelu poruczniku, melduję, że strzelec Bielczyk zamierza coś ze sobą zrobić...

Grzebałem się akurat w rozlicznej dokumentacji kompanijnej i wcale nie miałem ochoty na żarty.

— Nie plećcie głupstw... Co to znaczy „coś ze sobą zrobić”?

— On chce się zabić...

— Co zrobić? Zabić?

— Tak jest... Porwała mnie żółć.

— To niech go szlag trafi! Powiedzieli mu to...

Kapral stał nieruchomo, bez słowa.

— Siadajcie — powiedziałem — i gadajcie co i jak...

Opowieść nie była długa. Otóż Bielczyk myśli o odebraniu sobie życia. Ma nawet przygotowaną nabój. A może nawet kilka sztuk... Zwieryzał się z tego szeregowcowi Zdzisławnem. Oczywiście sprawdzenie jego szafki i łózka nie dało żadnych rezultatów...

— Ależ człowieku! — zawołałem — to, że on coś gadał jeszcze niczego nie dowodzi. Mnie właściwie o nic nie chodzi. Może to tylko taka sobie przejściowa chimera.

— Kiedy on spalił wszystkie listy, jakie tylko miał. I chętnie taki jakiś nieswój. Zabił się na pewno.

Chodźcie po kancelarii jak lew w klatce.

I tak samo beznadziejny. Cóż, mogę tu kląć, wydzierać, rzucać się, a Bielczyk palnie sobie w łeb. I potem wszystko będzie na mnie. Zaczęła dochodzić: czy prowadzono z tym żołnierzem pracę wychowawczą, czy opiekowano się nim, co zrobiono, by nie dopuścić do wypadku. Prokurator, informacja, aparat polityczny. Oczywiście dojdą do wniosku, że zastosowano nieodpowiednie metody wychowawcze. Bo inaczej by się nie zastrzelił. Tu nie będzie tłumaczenia. Wchodzi w grę życie człowieka. Ze on któregoś pięknego dnia może się zastrzelić — nie miałem co do tego najmniejszych wątpliwości. Przecież nikt go nie upilnuje. Żołnierz chodzi z bronią na warcie, na strzelnicę, na zajęcia. Codziennie ma w rękach karabin.

Moim zastępcą do spraw politycznych był chorąży Szumiński. Chłopak młody, dopiero od paru miesięcy jest oficerem. Na całą sprawę reagował zgodnie z notatkami, jakie miał jeszcze ze szkoły w swoim zeszytce.

— Przeprowadzę z nim rozmowę indywidualną.

— A jak się wyprze wszystkiego?

— Jak to? Przecież sam się przyznał.

— Byliście przy tym?

— No nie, ale...

Chorąży stracił cały animusz. Prawdę mówiąc i mnie było jakoś nieswojo. Bądź co bądź sprawa poważna. Oto chodził sobie człowiek po rejonie kompanii, a za dzień, za dwa czy nawet za godzinę będzie trupem... Do cholery! Tylko pójsz i skuć mordę! Sprawa była poważna. Ostatnio wzięto się poważnie za nadzwyczajne wypadki. Każda taka historia była zgłaszana natychmiast do Warszawy, do sztabu okręgu, prokuratury i licząco gdzie jeszcze... Każdy z dowódców drżał na słowa: nadzwyczajny wypadek. To jakby zawalona inspekcja, tylko jeszcze w gorszym wydaniu. Za nadzwyczajne wypadki zdejmowano od czasu do czasu dowódców różnych szczebli. Człowiek więc już zawczasu miał stracha.

Oczywiście Szumiński rozmawiał z Bielczykiem. Początkowo tamten nie chciał mówić. I tak już sprawa jego planowanego sa-

mobójstwa rozeszła się po kompanii. Chłopcy kpiłi sobie z niego i wlezie. On zaś zaczął się w wewnętrzny uporze. W ogóle to warunki zbiorowego zakwaterowania nie sprzyjały zwierwom w sprawach osobistych. Szczególnie tam, gdzie ludzie żyją ze sobą najbliżej, w tej samej sali. Wytwarza się przeważnie specyficzna atmosfera kpinki ze wszystkiego i wszystkich, odgrywanie się od poważniejszych uczuć. Każdy stara się zachować jak cwaniak o dużym życiowym doświadczeniu. Każdy chwali się ile to miał przygód, jak sobie gwałdził na wszystko. Słabsi — bardziej nieśmiało zamykają się w sobie i przeżywiają różne konflikty.

W gruncie rzeczy kompania stanowi zbiór dopiero wkraczających w życie młodych ludzi. Wielu z nich dopiero tu, w wojsku poznaje szerszy świat. I dlatego, że jest on taki nowy, taki rozległy i dziwny udają, że wiedzą o nim więcej niż koledy. Działają wtedy ambicja tanych. Nikt nie chce być innym, słabszym, bezradniejszym. Już miałem zamiar pod ładą pretekstem ukarać Bielczyka aresztem i tym samym zabezpieczyć się przed wypadkiem, gdy Szumiński wpadł na pomysł skontaktowania się z rodziną Bielczyka. Powoli stawał przed nami obraz sytuacji: otóż narzeczona Bielczyka początkowo mieszkała w tej samej wiosce co i on. Potem, po roku jego służby wojskowej pojechała do Łodzi. Tam przy pomocy kuzynki zaczęła pracować w fabryce i jakoś urządziła się. No i tej Józka zaczął być coraz mniej atrakcyjny. Osłabła korespondencja. Chłopak wzięł to sobie do głowy. Dostałem list od matki dziewczyny:

— W odpowiedzi na list pana śpieszę dołożyć, że dzięki Bogu moja Stasia czuje się dobrze. A dla samego opano i nia była? Teraz jest w mieście Łódź, ubrana, dobrze się czująca. Narzeczony z wojska oczekuje, on chłopak akuratny, gospodarski syn, choć ich tam kilkoro na te morgi wypadła.

Rozpisała się mamusia dość szeroko. O wyprawie, jaką córce przygotowała, a którą córka własną pracą powiększyła, o narzeczonym, który o coś tam ma pretensje, oczywiście niesłusznie, bo Stasia dziewczyna jak

złoto, o tym jak się młodzi kiedyś urządziła na gospodarce. Po narodzie z Szumińskim pokazałem ten list Bielczykowi. Czytał go kilka razy w skupieniu poruszając bezgłośnie wargami. Potem niespodziewanie wybuchnął:

— To przez starą te kłopoty! Przez nią... Forsy się im zachciało, morgów.

I rozplakał się.

Nie noszę łez w męczyzn. I w ogóle te historie z powodu kobiet dziwią mnie. Jak to? Że ona nie chce pisać czy rozmawiać? To czort z nią! Baba z wozu — koniom łez.

No, tu się trochę zagalopowałem... Nie tak dawno, jakieś miesiąc czy dwa temu, gdy byłem w wieku Bielczyka, też ciężko przeżywałem niezbyt udaną miłość. I co się dziwił jemu?

Nasza dość ostra interwencja ściągnęła wreszcie i narzeczoną. Początkowo rozmawialiśmy z nią we dwóch: ja i Szumiński. Siedzieli przed nami niedużo, trochę wystraszona dziewczyna. Od razu można poznać, że niedawno wyszła ze wsi. Po ruchach, sposobie wyrażania się, i nawet po ubiorze. Już widać na niej miasto, ale jeszcze to wygląda sztucznie, jakby przyzwoicie trochę na wyrost. Mówiła i płakała, płakała i mówiła.

— Józka, tam my sobie mówili, że się pozbierzemy. Chodził do mnie i chodził, nagał...

— No, a teraz?

— Ja nie chcę siedzieć na gospodarce. W fabryce mam dobrą pracę, teraz wysylają na kurs.

Potem Szumiński wziął ich obce na dłuższą rozmowę. Ja nie miałem czasu być przy tym. Spakali się, Józka i Stasia, jak bobry. Ona coś wspominała o powrocie na włość, on oddał nabój. Jednak go miał. Niby wszystko skończyło się dobrze, ale jakoś nie bardzo chcieli mi się wierzyć, by tych dwoje umiało ułożyć sobie wspólne życie. To już chyba dwa światy, dwa odmienne spojrzenia na życie. Bielczyk na jesieni poszedł do cywila. Coś tam jeszcze wspominał o Stasi, ale ona dalej przebywała w Łodzi. Nic o nich więcej nie słyszałem.

